№ 23. Warszawa, dnia 23 Maja (4 Czerwca) 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

WĘDRÓWKI ZAGRANICĘ I NASZE ZAKŁADY KĄPIELOWE.

Wiosna w pełnym zajaśniała rozkwicie. Drzewa bujną pokryte roślinnością, przypominają nam, pomimo dżdżystego i chłodnego stosunkowo powietrza, iż po burzy następuje zwykle słońce, po gradach szalonych, muszą wkrótce zapanować upały, wraz z którémi kogo stać każdy pędzi za rogatki na letnie mieszkanie, by odetchnąć wśród bujnej zieleni i ciszy przyrody. Zwyczaj to dla osób niezamożnych zły może, niewygodny, nużący, ale ze względu na zapas zdrowia, jakiego nam dostarcza, nic przeciw niemu powiedzieć nie możemy.

Jeżeli kogoś nie przerażają ciasne chłopskie izdebki, upał i zaduch, sąsiedztwo zwierząt domowych i często zupełne odcięcie od świata, i owszem niech jedzie. Niech pierś jego rozszerza się, skąpana w falach świeżego powietrza, niech płuca wzmacniają się wśród balsamicznej woni naszych lasów, a umysł odświeża i uszlachetnia, w zetknięciu z bogatem królestwem przyrody.

Po za tą kategoryą jednak, ludzi szukających odpoczynku, spokoju i ciszy, istnieją jeszcze według czysto warszawskiego prowincyonalizmu letnicy, którzy do większego przyuczeni komfortu, jadą zaludniać tłumnie francuzkie miejsca kuracyjne i niemieckie *bady*. Do tych chcemy tu słów parę zwrócić. Tam, gdzie stan zdrowia wymaga nieodzownie podróży do Ems lub Ostendy, nic rzecz prosta zarzucić nie możemy. Czy jednak zagranica nie dałaby się zastąpić w setkach razy, naszemi kąpielami?

Straszne prześladowania pruskie, dały w roku zeszłym pierwsze hasło do liczniejszego nawiedzania krajowych zakładów. Na horyzoncie politycznym nic się odtąd nie zmieniło a Nałęczów, Busk, Ciechocinek, Solec, Druskienniki, Birsztany, Połąga, Libawa, Krynica, Szczawnica, Truskawiec, kąpiele hydropatyczne, żelazne, siarczane, morze i góry, wszystko gotowe na nasze usługi i z niemi kołacze do naszej pamięci.

Nałęczów, miejscowość prześliczna w gubernii Lubelskiej, o 5 godzin drogi zaledwo od Warszawy oddalona, własność dawnych magnatów polskich, ostatecznie Małachowskich, w przeciągu roku zmienił się nie do poznania, a zrujnowany pałac został odnowiony i z całym urządzony komfortem Nieopodal na skraju parku wzniesiono wielki zakład hydropatyczny, dalej źródła żelazne, kąpiele borowinowe, żelaziste, igliwiowe i sztuczne; na prost zakładu wodoleczniczego olbrzymi hotel, kumysarnia, poczta, telegraf, sklepy i całe szeregi malowniczych, kosztownych nieraz willi i pałacyków, w których znajdują pomieszczenie ci kuracyusze, którzy chcą się urządzić taniej, nie być ściśnieni rygorem kąpielowym, jadać u siebie i t. d. Dom zdrowia dla chorych chronicznych, masaż, elektryczność i t. p. uzupełniają środki lecznicze, podczas gdy piękny, choć niezbyt obszerny park, dobra orkiestra, czytelnia, salony urządzone w stylu Ludwika XVI, wreszcie malownicze okolice i wycieczki do Kazimierza, Now. Aleks., oraz innych miejscowości, dopomagają do przyjemnego spędzenia czasu. Tym zaś, co by chcieli mniej komfortu a więcej ciszy, pozwalają się przenieść do dawno znanego, obecnie świeżo przez D-ra Olechnowicza urządzanego *Skawinka* pod Lublinem. Jedna zaledwo stacya kolei, dzieli dwa te zakłady z których starszy Nałęczów, wyrobiwszy już sobie sławę w cierpieniach nerwowych głównie, leczy choroby płuc, anemię i t. d., a zarazem współzawodniczy z *Nowem Miastem* nad Pilicą, dawniej już znanym zakładem hydropatycznym.

Busko i *Solec* w gubernii Kieleckiej położone, słyną z wód siarczano-słonych, jod, brom i sól glauberską zawierających, a pomocnych głównie

w chorobach kości i skóry, w skrofułach, reumatyzmie i t. d. W połowie XVIII wieku założono w Busku warzelnie soli, o których za Stanisława Augusta czytamy jeszcze wzmianki. Trzy czynne zdrojowiska dostarczają dziennie 42,000 garncy wody, o temperaturze +9° Réaum.

Te same mniej więcej, lecz o wiele bogatsze składniki, posiada ceniony ogólnie *Ciechocinek*, którego warzelnie soli od wieków znane, a czynne od Stanisława Augusta, dostarczają blizko 150 tysięcy centnarów soli rocznie, ciepłota zaś wody wydawanej przez 12 zdrojowisk, dochodzi do +16° Réaum. Obfite w sól, chlor, wapień, magnez, brom, jod, sod, potas, kwas siarczany i t. d., kąpiele ciechocińskie oddają nieobliczone chorym usługi, a jeżeli piaszczysta dokoła okolica, nie zadawalnia poczuć estetycznych, to w zamian panująca tu taniość została już należycie przez warszawskie gosposie ocenioną.

Do tej samej kategoryi należą jeszcze *Druskienniki*, zdrojowisko lecznicze, położone w gubernii Grodzieńskiej, przy ujściu Rotniczanki do Niemna. Nazwa powstała z litewskiego wyrazu *druskas*, sól, wskazuje dostatecznie zarówno rodzaj źródeł tutejszych, jak i fakt, iż oddawna już miejscowej ludności znane były. W rzeczy samej, książęta litewscy jeszcze uważali miejscowość tę za tak ważną, iż w XIII już wieku dźwignęli tu zamek obronny, który następnie stawał się przedmiotem niejednokrotnych napadów ze strony Krzyżaków. Urządzone przed półwiekiem, Druskienniki rozwijają się coraz pomyślniej, lekarze zaś siłę uzdrawiającą źródeł tutejszych, dochodzących do +13° Réaum., równają z Kissingen, Kreutznach i t. p.

Mniej znane, również alkaliczno słone wody, znajdujemy jeszcze w *Birsztanach*, maluchnej wiosce, rzuconej malowniczo nad zakrętem Niemna, o trzy mile od Kowna. Urocze położenie zwabiało tu niegdyś ks. Witolda, a później Jagiellonów mających w Birsztanach malowniczy zameczek myśliwski. Dziś, jeżeli nie skuteczność wód, słabo w rzeczy samej urządzonych, to cisza i urok gór sosnami pokrytych, a błękitnym Niemnem okolonych, ściąga tu mnóstwo osób, zgub. pół. z., Petersburga i głębszych nawet gubernii rossyjskich.

Z większych nareszcie miejsc leczniczych, pomijając Krynicę i Szczawnicę, jako zbyt już znane, a przytem po za granicami państwa leżące, pozostają nam jeszcze morskie kąpiele w *Libawie* i *Połądze*. Pierwsza od starożytnych prawie głośna czasów, nie potrzebuje komentarzy, *Połąga* za to nie dość jest u nas cenioną. Położona w gubernii Kurlandzkiej o 3 wiorsty zaledwo od granicy pruskiej, nad morzem Baltyckiem, ważne niegdyś miasto portowe, słynne porażką Krzyżaków w 1409 r. stanowiło przez długi czas jedyny port na Litwie. Handlowa, odznaczająca się wyrobami z bursztynu, Połąga pod starannym zarządem hr. Tyszkiewicza, zaczęła dopiero nabierać rozgłosu źródłami mineralnemi i starannem urządzeniem kąpieli morskich.

Spokojny jak nigdzie Baltyk, wabi tu na równi z malowniczością okolic, wśród których piękna rezydencya hr. Tyszkiewiczów w Kretyndze i historyczna góra Biruta, wybitne stanowią punkta. Gościnny pałac w Kretyndze, umiejący tak dobrze połączyć wytworność magnackiego dworu z patryarchalnością strzechy szlacheckiej, stanowi jakby nowożytną świątynię litewskiego Znicza, którego strzegła tu niegdyś Biruta, żona Kiejstuta i kapłanka ogniska wajdelotek; stąd też lud miejscowy ową górę do dziś dnia *Szwentos Birutos* nazywa. Połąga więc jak widzimy, ma wszelkie po temu warunki, aby zamieniona w punkt zborny pięknego świata, zatrzymała w kraju pieniądze, jakie corocznie wywożone zostają do Ostendy i innych nadmorskich miejscowości.

Jeżeli chodzi o próżnostkę, aby być zagranicą, to wszak Połągę, trzy wiorsty zaledwo od niej dzielą. Zresztą o słabostkę taką nikogo nie posądzamy, a krótkiem tem przypomnieniem miejsc naszych kąpielowych, chcieliśmy tylko dać dowód, iż wśród licznego ich szeregu, każdy może według swojej możności i upodobania, przyjemnie przepędzić lato.

Bo jeżeli odgradzanie się murem chińskim od zagranicy, zgubne przynosi owoce, to z drugiej strony, wobec smutnego finansowego położenia kraju, wywożenie zeń ciężko zapracowanego grosza, staje się często czynem nieobywatelskim.

An. Krz.

Na malinach.

Nad kwietnem stawu wybrzeżem,
Słodkie dojrzały malinki:
Mój ptaszek o liczku świeżem,
Tam biegnie, łykając ślinki.

Malinka wonna i słodka,
Jak żadna jagódka w sadzie,
Mój ptaszek, co którą spotka,
Zaraz do dzióbka ją kładzie.

I tak, to jedną, to drugą,
Wkłada do buzi różanej,
Że ani jednej niedługo
Malinki nie ma rumianej.

Więc drobną zrządziwszy psotę,
Śmiejąc się biegnie z ogródka,
Ptaszę urocze i złote —
Moja najsłodsza jagódka!

M. H. Truszkowski.

ODNALEZIONA.

POWIEŚĆ

Golo Raimunda.

PRZEKŁAD

Karoliny Szaniawskiej.

I.

Amerykański parowiec, który zaledwie przed godziną przybił do brzegu, był widać mocno obsadzony, gdyż roiło się na nim mnóstwo ludzi, zarówno przyjezdnych jak miejscowych majtków i tragarzy. Przysiągłbyś, że ten gwar nigdy nie ucichnie, bo oto wszyscy się ruszają, tylko ostatni z pasażerów, stoi spokojnie z założonemi na piersiach rękami i malowniczej scenie [illegible]kawością się przygląda.

Nie spieszy się, to jasne jak na dłoni. [illegible] rozumne jego oczy, któremi wodzi po ru[illegible] tłumie, nie zdradzają tęsknoty ani też [illegible]wości, jaka zazwyczaj poprzedza powitanie. [illegible]tnie nikt do niego nie spieszy, nie oczekuje, rzuca się w jego objęcia, gdyż port w którym wylądował jest mu wprawdzie znany lecz obcy najzupełniej.

Całe towarzystwo, a szczególniej kobiety żegnały się z nim bardzo serdecznie, piękne usta szeptały słodkie „do widzenia”, a jak złośliwie uważał kapitan, to tu i owdzie, brylantowa łezka zajaśniała w oku.

Nieczuły podróżnik uśmiechał się tylko, nie cieszyło go to wcale, ani też pochlebiało jego miłości własnej, lecz było mu najzupełniej obojętne, a kilka serdecznych słów podziękowania dostało się tylko kapitanowi okrętu, którego żegnał gorącym uściskiem dłoni.

— Przyjemnej zabawy, panie von Mersdorf! — powtarzał kapitan. — Mam nadzieję, że za kilka miesięcy zabiorę pana znowu. Wszak naszą ojczyzną nie jest kraj, który nas widział w powijaku i pieluszkach, lecz ten, w którym wyrośliśmy na ludzi.

Mersdorf ramionami wzruszył.

— Kto wie — odparł po chwili, nie mam tutaj co robić i niczego też nie szukam. Jednakże nie chcę tworzyć planów, nie mam żadnych projektów, lecz jak prawdziwy włóczęga oczekiwać będę, gdzie prąd mnie poniesie.

— Po morzu bogactw nietrudno żeglować — szepnął kapitan do stojącego opodal sternika, odpowiedziawszy poraz ostatni na ukłon młodego gentlemana, a gdy kto ma jeszcze za kompas tak mądrą główkę i poczciwe serce, ten może być pewnym siebie.

Wyszedłszy na brzeg, von Mersdorf znalazł walizkę pod opieką marynarza, który czekał już na niego dobrą chwilę, siadł do jedynej dorożki jaka pozostała i kazał się wieźć do hotelu, uznanego za najlepszy w mieście.

Dzięki też dobrej opinii, czyli istotnym zaletom, niższe piętra hotelu były przepełnione, a zapóźniony pasażer musiał się zadowolnić pokojem na trzeciem piętrze i to z oknem na boczną ulicę. Pomimo wszystkiego co o nim mówił kapitan, młody człowiek był widocznie mało wymagający, lub może pokój do gustu mu przypadł, dość że go przyjął tymczasowo dopóki nie znajdzie się lepsze mieszkanie, co jak zapewniano mogło nastąpić w bardzo krótkim czasie.

Kazał sprowadzić rzeczy, lecz żadnych usług więcej nie żądał i kelnera oddalił niezwłocznie.

Spojrzawszy na tę wysmukłą a silną postać i smagłe oblicze, którego spokojny wyraz wybornie harmonizował z dumnym zarysem twarzy, musiałby każdy nazwać go pięknym mężczyzną.

Otworzywszy okno siadł i raz jeszcze rozejrzał się po pokoju.

— Szczególny traf! — szepnął ścicha — jest to ten sam pokoik, w którym lat temu piętnaście ostatnią noc spędziłem na stałym lądzie Europy... poznaję go po oknie i sąsiedztwie szkoły, która znajduje się naprzeciwko.

Przeniósł się myślą w owe czasy i uczuł gorący odblask płomieni, które wrzały w jego dwudziestoletniej piersi, wspomniał dawne zasady, przekonania, ideały, dla których zerwał nietylko z tradycyą swego rodu, lecz potargał węzły łączące go z najbliższymi na świecie.

Dziś uśmiechał się do nich spokojnie, bez goryczy z pobłażliwością, z jaką wiek dojrzały traktuje dziecinne zachciewki.

W kraju wolności, który go przyjął gdy wygnała ojczyzna, idealne mrzonki rozwiały się zwolna. Tam więcej niż wszędzie walka o byt zajmuje pierwsze miejsce, a wobec niej wszelkie podnioślejsze dążenia zamilknąć muszą.

Lecz nawet w Ameryce umiał zachować wrodzoną uczciwość i zacne gorące serce, a zyskał pewność poglądu na ludzi i ich wewnętrzną wartość i chłód pozorny, którym się osłaniać lubił.

Okupił też swą jasność poglądów nietylko utratą młodzieńczych złudzeń, lecz i miłości dziadka, który zaledwie po upływie lat piętnastu przysłał mu słowa przebaczenia.

Z uczuciem politowania myślał o tym człowieku, posuwając tak daleko poczucie obowiązków społecznych, że uczuciom rodzinnym zamilknąć kazał, usunąwszy je na bok. Dlatego też nie martwił się zbytecznie, iż w ślad za przebaczeniem przyszła wiadomość o śmierci dziadka.

Pragnąc się pojednać, na pierwszą wieść z rodzinnego kraju, von Mersdorf zaczął sposobić się do podróży, odebrawszy jednak list z żałobną pieczątką, wstrzymał wyjazd, gdyż spieszyć się nie miał potrzeby. Bo i po co? Rodzice dawno już nie żyją, rodzeństwa nie ma wcale, a reszta familii nie pozostawiła w jego sercu tak miłych wspomnień, by aż zatęsknił do niej.

Młodszy brat nieboszczyka ojca, który zajmował lewe skrzydło pałacu dziadka, nie lubił nigdy synowca rozwijającego się przedwcześnie i będącego dumą starego prezesa. Erwin miał przekonanie, dość może słuszne, że stryj stanowił główną przeszkodę, dzielącą go od dziadka. Bo major von Mersdorf widział zawsze w młodym chłopcu nie tyle wyradzającą się latorośl starego szczepu, ile niepożądanego dziedzica ojcowskiej fortuny.

Smutno było pomyśléć, że ten zuchwały młokos obejmie kiedyś połowę majątku, jako jedyny syn wcześnie zgasłego radzcy stanu.

Próbował też kilkakrotnie namówić ojca, żeby zrobił testament na korzyść wnuków, pozostawiając mu jako synowi ogólną opiekę nad całym majątkiem, ale staruszek złapać się nie dał. Szło mu o to, żeby mógł w każdej chwili dać folgę sercu, które skłaniało się wyraźnie na stronę wnuka sieroty, będącego od śmierci ojca na opiece dziadunia. Starzec prowadził dom oddzielny, z pomocą wdowy po urzędniku, osoby bardzo dobrze wychowanej, która po stracie jedynego syna przywiązała się całem sercem do małego sieroty.

Gospodarowano dość skromnie, a oszczędności płynęły do kasy majora, która zawsze potrzebowała zasiłku. Stary prezes długów nie cierpiał, a synowi było z tem bardzo dobrze.

Lecz i ta pomoc nie zawsze była wystarczającą; major żył po pańsku, żona jego miała także wielkie wymagania, a edukacya dzieci stanowiła wcale poważną rubrykę w wydatkach. Po owej pamiętnej katastrofie, gdy papiery służące za dowód przeciwko Erwinowi, dostały się w ręce policyi, młodemu chłopcu pozostała jedna tylko droga. Aby uniknąć kary śmierci, musiał uciec do Ameryki.

Dobrze się stało, że biedny starzec nie był zmuszony oglądać wnuka w więzieniu, dobrze, iż niewdzięczny ulubieniec tej mu chociaż przykrości oszczędził, trudno się jednak dziwić, że prezes zawrzał szalonym gniewem. Jako głowa rodu czuł się skompromitowanym przed królem i społeczeństwem, a chcąc się okazać niewinnym, postanowił wyrzec się wnuka, który go okrył hańbą.

Nie myślał go usprawiedliwiać ani młodocianym wiekiem, ani brakiem doświadczenia, nikt się nie troszczył o młodego sierotę, który na obcej ziemi, tak daleko od swoich, walczyć musiał o zdobycie środków do życia.

Szczęście zaczęło mu sprzyjać; chociaż w zetknięciu z obcymi ludźmi wśród przeróżnych okoliczności, ideały lat młodzieńczych zostały zburzone bez litości, lecz praca była mu pociechą, dawała złote owoce.

Po bezowocnych, a kilkakrotnie powtarzanych usiłowaniach pogodzenia się z dziadkiem, Erwin ostatecznie zerwał z przeszłością. Zawiązał nowe znajomości, zaprzyjaźnił się nawet i przybraną ojczyznę zaczął uważać za swoją. Nie budował jednak własnego ogniska: zwątpiwszy w swe siły i powołanie do politycznej karyery, czem się łudził w młodzieńczych latach, kosmopolita pod każdym względem, w pojęciu o rodzinie pozostał niemcem do tej pory.

Kobieta, którą mógłby kochać musi być niewiastą w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, całe skarby uczuć i cnót rodzinnych winny w jej sercu się znajdować. Wykwintne amerykanki, świetnie wychowane, samodzielne i samolubne do ostatnich granic, nie są stworzone do cichego szczęścia, które było jego ideałem.

Doszedł już do lat trzydziestu dwóch, a świetlany sen, jak i tamte poprzednie blednąć już zaczynał. Jeszcze chwila a zgaśnie na wieki.

Spotykał wiele pięknych kobiet, jaśniejących wdziękiem młodości, uwielbiał ich umysł i energią, niejedna przyspieszyła chwilowe bicie serca, wzbudziła namiętność, lecz nigdy nie przyszło mu na myśl połączyć z którą z nich swe losy. Żadna nie była godną kapłanką domowego ogniska, uosobieniem miłości i spokoju.

Wśród serdecznego osamotnienia, do którego nie przyznawał się nawet sam przed sobą, słodko zabrzmiała wieść z rodzinnej ziemi, od swoich.

Z powodu przyjścia na świat następcy tronu, udzielono amnestyę, nie wyłączając przestępców politycznych, a rodzina nie mogła się w żaden sposób okazać surowszą od rządu.

Prezes stracił przed rokiem ostatniego syna, gdyż major przeniósł się do wieczności, samotny i obarczony wiekiem usunął się dobrowolnie ze stanowiska zajmowanego od lat tylu. Dłonią drżącą ze starości i wzruszenia sam napisał do wnuka. Ujrzawszy drogie pismo Erwin zapomniał o obojętności z jaką go traktowano przez lat piętnaście i nawet nie przyszło mu na myśl, że amnestya była moralnym przymusem, który podziałał na prezesa.

Uszczęśliwiony odzyskaną swobodą i niezależnością, Erwin przyjął z bijącem sercem list dziadka i zaraz też rozpisał się szeroko o swojem powodzeniu, o nabytym majątku i zamierzonym powrocie do Europy, gdy interesa pozwolą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

IV.

W Przemyślu.

Zamek łańcucki w którym tak gwarnie i buтno rozpoczęło się nasze opowiadanie, stał pustką, zrujnowany i zniszczony. Stadnicki nie miał jeszcze ani czasu, ani środków naprawić ślady splądrowania swej siedziby po ostatniem zdobyciu jej przez Opalińskiego.

Przez cały rok 1610 tułał się po rozmaitych posiadłościach własnych i krewnych swoich, ukrywając się przed zawziętym wrogiem; najczęściej przebywał u brata swego stryjecznego Adama w Tarnowie; starościna zaś mieszkała w Przemyślu, gdzie posiadała na przedmieściu duży dom modrzewiowy, z prześlicznym widokiem na okoliczne góry i srebrne nurty Sanu. Tu pospieszył do niej także syn Władysław, uwolniwszy się od ojca, który go wciąż włóczył ze sobą, nie mogąc jednak nakłonić do udziału w swych walkach. Młodzieniec, posłuszny ojcu, którego czyny sądzić nie jego było rzeczą, towarzyszył mu z boleścią w sercu, nie łączył się z jego wrogami, ale stanowczo i wyraźnie oświadczył starościnie, że dobyłby oręża jedynie w obronie życia własnego lub ojca, gdyby kto targnął się nań w jego obecności.

W dużej i nizkiej komnacie dworu przemyślkiego, o zmroku zimowym siedziały przy płonącym kominie trzy osoby. Ponuro było w tej izbie, która wyglądała ubogo, niemal jako miejsce chwilowego popasu; niewesołe też były twarze i usposobienia zgromadzonych tu matrony i dwóch mężczyzn. Byli to: znany nam pan Samuel, młody Władysław i jego matka. Pan Samuel wyglądał zdrowo i jeszcze młodo, chociaż już miał po za sobą czterdziestkę; młody Władysław miał pozór zngkanego i schorowanego; starościna zaś, pomimo lat i tylu cierpień, była jeszcze niemal młodą i piękną. Zdarzają się takie natury, opierające się burzliwym kolejom życia, które nie zdołają nadwerężyć piękności zewnętrznej.

— Więc i tym razem nic nie będzie ze zgody i układów? — zapytywała krewnego starościna.

Pan Samuel wzruszył ramionami.

— Jest rzeczą pewną — rzekł — że Opaliński nic sobie nie robi z wyroku sądu polubownego. Nie wiem dobrze, jakie są warunki tego wyroku, ale za to wiem dobrze, iż Opaliński na nowo zaciąga ludzi. Oprócz księżnej Ostrogskiej, zyskał sobie nowych sprzymierzeńców: panią Czarnkowską, wojewodzinę kaliską i pana Sieniawskiego, podczaszego koronnego.

— Mój Boże! — jęknęła starościna. — W jak okropnych czasach żyjemy! Jak mogą te panie i pan podczaszy podsycać bratobójczą walkę domo

wą? Gdzie król, gdzie rząd, gdzie prawo i porządek?

Zakryła sobie twarz rękami i szlochała pocichu.

— Uspokój się mateczko — mówił młody Władysław, przysuwając się do matki. — Może da Bóg że opłakana ta walka jakoś się zakończy. Zdaje się, że i ojcu ona już obrzydła, że tęskni do spokoju.

— Dałby Bóg! O jak ciężki krzyż dźwigać musimy! — biadała przez łzy starościna.

Pan Samuel uśmiechał się smutno, nieco szyderczo.

— Mojem zdaniem — rzekł — cioteczka powinna schronić się gdzie w miejscu bezpiecznem, a my z Władysławem możemy już wreszcie doprowadzić do skutku dawno powzięty zamiar udania się do boku króla, pod Smoleńsk. Jeżeli bowiem, co dla mnie jest rzeczą pewną, Opaliński ze świeżemi siłami rozpocznie walkę, niebezpieczeństwo będzie groźne. Starosta nie ma już ani ludzi, ani pieniędzy, a zawzięty przeciwnik czyha może na ostateczną zagładę rodu i imienia Stadnickich.

— Radbym z wami, bracie, ruszyć na wyprawę — rzekł młody Władysław — kiedy zdarza się sposobność chlubnego użycia oręża... Radbym jak najprędzej i najdalej opuścić pole wstrętnych tych walk domowych, ale uczynię to nieprędzej, aż matka będzie w bezpiecznem schronieniu.

— Ciotka — mówił Samuel — może przenieść się niezwłocznie choćby tymczasem do klasztoru panien bernardynek. Radziłbym uczynić to dziś jeszcze, a i my ruszylibyśmy nocą, korzystając z nieobecności starosty...

— Proszę cię, mateczko — rzekł Władysław — uczyń tak, jak radzi brat Samuel. Czas już zaprawdę i tobie i mnie odetchnąć swobodniej.

Czas jakiś panowało milczenie.

— Mój Boże! — zawołała wreszcie starościna. — Ale czy to się godzi? Przysięgłam, bądź co bądź, posłuszeństwo mężowi, a teraz, w niebezpieczeństwie żona ma pokryjomu opuszczać męża, syn ojca? I to w chwili, gdy nieszczęśliwy mój małżonek wydaje się blizkim upamiętania...

Pan Samuel niezaraz odpowiedział: ważył widocznie słowa.

— Kochana ciotko — rzekł wreszcie — w podobnych okolicznościach tak postąpić jest nietylko rzeczą godziwą, ale jedynym i koniecznym obowiązkiem. Dosyć już wycierpiałaś, ciotko, nawet za wiele, że wspomnę tylko o dwukrotnem oblężeniu i niewoli u Opalińskiego. Bohaterstwo twoje i życie męczeńskie podziwiają ludzie. Czas teraz pomyśléć, jeżeli już nie o sobie, to o jedynaku synu, a dla niego i ja nie widzę innego ratunku jak szybkie z tych miejsc oddalenie się.

— Może zginąć przyjdzie gdzieś tam daleko — szepnęła matka.

— Rycerz powinien być zawsze przygotowany na to — odparł Władysław. — Zresztą, jeźli mam zginąć, wolę poledz chlubnie w wojnie zaszczytnej niż tu z ręki Opalińskiego lub którego z jego siepaczy.

— Błagamy cię ciotko, decyduj się prędko — nalegał Samuel. — Czas nagli mnie także, nęci oddawna wyprawa królewska, czekałem jedynie na Władysława, lecz dłużej czekać nie mogę.

Gdy tak rozmawiali, a starościna wahała się jeszcze płacząc pocichu, przed dwór zajechały duże sanie kryte w towarzystwie kilku konnych.

— Co to znaczy? — zawołał żywo Samuel, przystępując do okna. — Czyżby to starosta wracał?

— Nie, to nie ojciec — rzekł, przyglądając się orszakowi Władysław. — Jakiś nieznany mi rycerz szepcze ze swymi ludźmi, daje im znaki. Oto sam zmierza do sieni.

— Może to napaść Opalińszczyków — rzekł Samuel, kładąc rękę na szabli.

Władysław porwał również z kąta swoją batorówkę i skoczył do matki, prosząc aby się oddaliła, ale starościna uparła się pozostać.

— Nie — mówił Samuel, przyglądając się przez okno, to nie napaść... Ludzie, z wyjątkiem jednego owego rycerza, bezbronni... Zresztą te sanie... Rad jestem przynajmniej, że to nie stryjaszek... Przez lat już dwadzieścia unikam go i nie radbym się z nim spotkać.

(Dokończenie nastąpi.)

WYSTAWA HYGIENICZNA

W WARSZAWIE.

(Dalszy ciąg.)

Prócz ławek, katedry i tablicy wystawionych przez p. W. Górskiego, a przedstawiających całkowite urządzenie sali szkolnej, widzimy tu tablice do rozpoznawania kolorów, oraz oceenia siły wzroku i natężenia światła, normalną stronicę podręcznika szkolnego i przyrząd do prostego trzymania się.

Te przedmioty wystawili D-rowie Jasiński i Przybylski.

D-r Lasocki nadesłał plany szkół w dawnej Polsce, a pan Władysław Nowicki (nauczyciel instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie) przyrządy do pisania dla cierpiących na oczy lub dla ociemniałych. Przyrządy te składają się z deseczek ruchomych, zapomocą których cierpiący na oczy ma ułatwione kierowanie ręki po papierze.

Pan Nowicki wystawił oprócz tego wypukłą mapę Królestwa Polskiego (dla ociemniałych) z uwzględnieniem dróg żelaznych, oraz mapę Europy z oznaczeniem granic, gór, rzek i stolic.

Prócz tego dał trzy przyrządy ułatwiające naukę arytmetyki, bardzo praktyczne i godne rozpowszechnienia.

D-r Jasiński nadesłał ławki domowe do nauki, różnych systemów; bracia Geissler 7 ulepszonych ławek frankfurckich, a D-r Wojciechowski z Kalisza przyrząd do pisania po ciemku, o którym przed niedawnym czasem czytaliśmy wiele w dziennikach.

Bardzo kompletny, bogaty i systematycznie ułożony jest zbiór okazów służących do nauki poglądowej, do nauczania przedszkolnego wystawiony przez p. Maryę Weryha. W godzinach wieczornych zamiłowana w tym przedmiocie wystawczyni udziela objaśnień. Warto ażeby panie nasze przychodziły zbiór ten oglądać i objaśnień posłuchać. Ramy niniejszego sprawozdania niepozwalają nam na drobiazgowe opisanie całego tego działu, wspomnimy tylko dla poinformowania czytelniczek w jaki sposób p. Weryho zapoznaje maleństwo z gatunkami drzew i zbóż krajowych. I tak: chcąc dać dziecku wyobrażenie o dębie, bierze odpowiedni karton, na którym naklejony jest liść dębowy i kawałek drzewa dębowego, a przy nich maleńka beczułka, koło i różne narzędzia gospodarskie wyrobione z dębu. Na tymże kartonie znajduje się i żołądź i kawałek kory dębowej; sosna przedstawiona jest w podobny sposób. Niebrak na kartonie małej flaszeczki ze smołą, drugiej z olejkiem sosnowym, nie brak nawet okazów wełny sosnowej. Tak samo przedstawione są inne drzewa krajowe, okazy zbóż ułożone według tej samej metody: obok kłosów żyta widzimy woreczki z mąką, słodem i flaszeczkę z wódką; obok pszenicy różnę gatunki mąki, kaszy pszennej i krochmalu.

Nie potrzeba zdaje się dowodzić, jak łatwo za pomocą tych okazów zapoznać dziecko z drzewami i zbożami krajowemi, oraz dać mu wyobrażenie do czego takowe służą i jakie mają zastosowanie w gospodarstwie i przemyśle.

Powtarzamy raz jeszcze, że dobrzeby było, aby panie znające poglądową metodę nauczania przedszkolnego że słyszenia tylko, pofatygowały się na wystawę i posłuchały zajmujących objaśnień pani Weryho.

Nie jednej wyszłoby to na pożytek.

W tejże izbie zaprezentowała swoje wyroby szkoła rzemiosł przy ulicy Złotej w Warszawie. Dodamy nawiasowo że dyrektor tej szkoły, zdolny i zamiłowany w swoim zawodzie pedagog, odbył niedawno wycieczkę naukową do Szwecyi, w specyalnym celu wystudyowania wzorowych szkół rzemiosł jakie w owym kraju istnieją. Bardzo zajmujący opis owych szkół zamieścił był p. Kühn w „Przeglądzie Pedagogicznym” a metodę z którą się w Szwecyi zapoznał bliżej, usiłuje do tutejszej szkoły wprowadzić.

Przedmioty wystawione przez szkołę, niewyłączając porządnej bardzo szafy w której się znajdują, wyrobione są przez uczniów. Widzimy tam okazy robót ręcznych (Slöjd), drzewne podług wzorów szwedzkich D-ra O. Salomona z Nääs, okazy metalowe podług wzorów p. Kühna, okazy gipsowe, drzewne i kitowe, wyrobione pod kierunkiem nauczyciela rysunku p. Dymitrowicza.

Prócz tego wystawiono narzędzia i pomoce naukowe szkolne; niektóre z narzędzi ślusarskich i stolarskich, modele do rysowania i kreślenia z natury (wyginane z drutu i toczone z drzewa), oraz płaszczyzny z drutów jako pomoc przy nauczaniu geometryi wykreślnej.

Kilka sztuk sprzętów, i przyborów szkolnych, oraz plany i rysunki sal i przyrządów gimnastycznych, ofiarowane panu Kühnowi przez Dyrekcyą centralnego instytutu gimnastycznego w Sztokholmie, dopełniają całości.

W ogóle Szkoła rzemiosł zaprezentowała się dobrze. Roboty uczniów jej odznaczają się starannością, czystością i dokładnością wykończenia.

W tymże dziale p. Michał Arct księgarz lubelski, a obecnie i warszawski (nabył albowiem księgarnię A. W. Gruszeckiego) wystąpił z wydawnictwami pedagogicznemi, które od lat wielu z planem i systematycznie prowadzi. Te wydawnictwa w których jest wiele prac przedwcześnie zgasłego ś. p. Jeskego, bardzo słusznie znalazły się w dziale wychowawczym.

Obok modeli szkoły, pomocy naukowych, map i książek, znalazły się zabawki i gry pedagogiczne. W dziale tym wystąpiło kilku wystawców, a mianowicie pan Julian Müller dał: zajęcia dla dzieci podług metody Froebla, gry towarzyskie, łamigłówki, elementarze i wzory.

Godną uwagi jest łamigłówka, złożona z planiku i kartonów malowanych do wycinania. Dziecko podług wzoru i planu układa i skleja modele piękniejszych gmachów warszawskich. Zabawka tego rodzaju wymagająca pewnych kombinacyi, zręczności i cierpliwości zarazem, może zająć nawet starszych chłopczyków i panienki.

Obok wystawki p. Müllera, na długim stole rozłożył moc przeróżnych zabawek, łamigłówek i gier pan Wiśniakowski, który całkowitą swoją działalność podejmowaniu tego rodzaju wydawnictw poświęcił. Niektóre zabawki i łamigłówki pana W. są bardzo zajmujące i dowcipnie obmyślane.

Tanie gry towarzyskie, pedagogiczne, oraz książki dla młodzieży wystawił p. Leopold Szyller, któremu niepodobna odmówić pomysłowości na tem polu.

Nowością do pewnego stopnia przynajmniej są gry i zabawy hygieniczne, urządzone na oddzielnym placu (naprzeciw pawilonu Junga) przez pana Alberta Krasnodębskiego.

Jest tu ich kilka a mianowicie Lavontennis (gra z siecią), gra w żabę (jeu du tonneau), krokiet, rzucanie kulami (passe boules), gra w wolanta, w piłkę, etc.

Amatorowie hygienicznych rozrywek mogą się bawić na placyku bezpłatnie, z przywileju tego korzysta chętnie dziatwa, dla której zarząd wystawy urządził korowody i inne przyjemności połączone z ruchem i ćwiczeniami fizycznemi.

W dziale gimnastycznym wystąpiło „Towarzystwo wioślarskie" jako korporacya mająca głównie na celu sport wodny, w wysokim stopniu sprzyjający rozwojowi fizycznych sił młodzieży.

Na ścianie udrapowanej w wiosła i flagi, wioślarze zawiesili kilka fotografii przedstawiających załogi, które odniosły zwycięztwo na regatach, łódź z wioślarzami na Wiśle i t. p. Widocznie „Towarzystwo" wystawiając na pokaz fotografie zdrowych i muskularnych marynarzy wiślanych, pragnęło w „poglądowy sposób" powiedzieć zwykłym, mizernym i wybladłym śmiertelnikom:

— Jeżeli macie ochotę wyglądać tak jak my i cieszyć się takiem zdrowiem jak my, to zapiszcie się do naszego towarzystwa...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KATASTROFA W PARYŻU.

26 Maja 1887 roku.

Piszę pod wrażeniem okropnej klęski, jaka tej nocy spadła na Paryż i pochłonęła mnóstwo ofiar. Zgliszcza opery komicznej tleją dotychczas, niezliczone tłumy zalegają Bulwar Włoski, sieroty płaczą nad trupami spalonych lub zduszonych dymem ojców, lekarze opatrują rannych. Rozpacz w rodzinach, popłoch okropny w całem mieście.

Pożar wszczął się na kilka minut przed dziewiątą wieczorem, w chwili gdy po pierwszej sztuczce, rozpoczęło się przedstawienie opery „Mignion". Wszystkie miejsca były zajęte. Sala mieści tysiąc ośmset widzów, oprócz artystów, orkiestry, maszynistów i służby teatralnej.

Nagle podczas baletu Cyganek, drobne iskierki poczynają sypać się na scenę. Widzowie powstają z miejsc zatrwożeni. Spostrzega to reżyser, woła na głos ze sceny:

„Panowie i panie, błagam was nie trwóżcie się... byliżbyśmy tu, gdyby coś zagrażało?"

Aktorowie przywtarzają chórem: „To nic! nie ma niebezpieczeństwa!" Tymczasem deszcz ognisty sypie się coraz gęściej.

Dzięki zimnej krwi artystów, wielka część publiczności, zaspokojona opuszcza salę. W lożach trwoga, kobiety krzyczą przeraźliwie, uciekają co siły.

Tymczasem płomień ogarnia scenę całą. Artyści rozbiegają się po zaułkach i kurytarzach. Każdy szuka ratunku, wybijają szyby, rozmykają okna, wołają o pomoc. Niecierpliwsi rzucają się na bruk, rozbijają czaszki, gruchoczą nogi i ręce.

Pożar wzrasta, sala w płomieniach. Widzowie z najwyższych galeryi, w liczbie około dwuchset osób, popychają się, depcą jedni po drugich. Zgaszono gaz w obawie wybuchu, kłęby dymu tamują oddech. Przybiega wreszcie straż pożarna. Pompiery z niesłychaną energią przystawiają drabiny do okien, wyrywają z płomieni niedobitków, poparzonych, półmarłych z przestrachu. Dzięki tej energii liczba ofiar stosunkowo mniejsza niż w innych wypadkach podobnego rodzaju. Gdy to piszę liczą pięćdziesiąt przeszło trupów, około dwustu ranionych.

Okropna ta katastrofa od dawna była przewidywaną, ze względu na szczupły obręb teatru, otoczonego siecią wązkich ulic i na wady wewnętrznego urządzenia. W dniu 12 Maja r. b., podniósł tę sprawę w Izbie prawodawczej, Deputowany Steemarkers. „Dziś, rzekł on, teatr opery komicznej mieści czterysta pięćdziesięciu artystów, urzędników i posługaczy, na przestrzeni dwustu sześćdziesięciu metrów kwadratowych. Odejmijmy jeszcze miejsce, na składy dekoracyi, maszyn, bibliotekę i t. p. to ciasne kurytarze zupełnie będą zawalone.

(Gdy budowano teatr, w skład opery wchodziło siedmdziesiąt zaledwie osób. Dziś zmieniła się całkiem postać rzeczy, a miejsca nie przybyło.)

„W razie pożaru przedstawia się z dwóch stron równie groźne niebezpieczeństwo. Gdyby ogień wybuchnął podczas widowiska, osoby znajdujące się na scenie, miałyby do ucieczki jedyne, kręte i wązkie wschody.

„Gdyby zaś pożar objawił się w antrakcie, kiedy artyści są w lożach swoich, klęska byłaby tem straszliwszą.

„Teatr liczy siedm pięter, połączonych z dwóch stron drewnianemi wschodami o stu siedmdziesięciu stopniach. Na wypadek pożaru, łatwo przewidzieć okropny stan nieszczęśliwych, przyprowadzonych do szaleństwa."

Był to głos wołającego na puszczy. Minister oświecenia i sztuk pięknych Bertholet, odpowiedział, że ostrzeżony tej zimy, sprawdził sam rzecz na miejscu i przekonał się, że niebezpieczeństwo grozi, jeźli nie publiczności, to artystom i służbie teatralnej.

Izba pozostała obojętną: żal jej było trzech milionów, jakich wymagało odbudowanie teatru. Sprawa poszła w odwłokę. Dzienniki szydziły ze zbytniej gorliwości deputowanego i ministra. Sarkastyczny współredaktor Figara, Miland, wydrukował scenę wierszem, z muzyką jakoby Steemarckersa. Artyści zebrani na placu przed teatrem śpiewają chórem: „Dalej, śmiało przyjaciele! pomimo groźb ministra, idźmy spełnić powinność naszą!"

Mniej odważni, wahają się, przed oczyma ich stoi widmo śmierci, słowa ministra palą ich niby płomień pożarny.

„Panowie, woła jeden, spieszmy, oto godzina próby!

Wszyscy odpowiadają chórem: „Czas nam wyspowiadać się z grzechów i odprawić pokutę, skoro mamy umrzeć w kwiecie dni naszych. Dyrektorze! przygotuj wcześnie wiadra wody.

„Chodźcie bez trwogi dzieci moje, woła ukazując się Dyrektor. Ja sam odpowiadam za wszystko. Co do zdrajcy ministra, nim my będziemy w płomieniach, on wprzód utonie w wodzie wraz z Gobletem.

Tu nadchodzi publiczność. „Dzielne zuchy! wołają różne głosy, szydzą z pożaru, warto im sypnąć złotem!" I kołaczą do kassy po bilety.

Farsa ta przed tygodniem rozśmieszyła czytelników Figara. Nikt wtedy nie przewidywał, że wróżba spełni się niebawem i to w dwojaki sposób. Z teatru widzimy dziś tlejące zgliszcza, z niejednego artysty, została garść popiołu, a nim zgorzeli w płomieniach, Bertholet utonął w wodzie wraz z Gobletem i całem ministeryum!

Ostatnia sztuka jaką przedstawił tydzień temu teatr opery komicznej, nosi tytuł: „Król mimo woli". Tym królem Henryk Walezyusz powołany na tron polski. Rzecz dzieje się w Krakowie. Widzimy na scenie sparodyowanych Husarzy i senatorów naszych. Sztuka cała zaprawna żółcią i jadem przeciw Polsce!

Skąpy dwa razy traci, przysłowie to spełniło się na Izbie: zamiast trzech milionów na zrestaurowanie teatru, musi wydać dziewięć milionów na budowę nowego. Asekuracya ogniowa wynosi tylko milion.

Składki sypią się ze wszystkich stron, na pomoc rannym i na wsparcie osieroconych rodzin. Wszystkie teatra zapowiedziały na ten cel widowiska.

Stowarzyszenia dobroczynne i kluby artystyczne urządzają koncerta i przedstawienia rozmaitego rodzaju. Izba zawotowała 100,000 na rzecz poszkodowanych.

W liczbie ofiar więcej znaleziono kobiet niż mężczyzn. Z ośmiu baletniczek pierwszorzędnych, które w chwili gdy pożar wybuchnął tańcowały na scenie, cztery spłonęło, jedna w niebezpieczeństwie utraty życia znajdują się.

Prefekt policyi nakazał najściślejszy przegląd tutejszych teatrów. We wszystkich mają być przedsiewzięte środki ostrożności, kilka z nich całkiem będą przebudowane.

W ciągu stu lat ubiegłych, po raz dwunasty powtarza się w Paryżu podobna katastrofa. Tenże sam teatr opery komicznej, przeznaczony niegdyś dla opery włoskiej, zwany wtedy „Salle Favart", zgorzał w roku 1838. Trzy teatra bulwarowe, puścili z dymem komunardy w r. 1871. Ostatni pożar pochłonął wielką operę czternaście lat temu, szczęściem nastąpiło to w nocy, po skończonem widowisku. Klęska ograniczyła się na stratach materyalnych.

S. D.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Czerwca 1887 roku.

Paryż w tym roku nie miał wiosny. Dżdżysty i wietrzny Maj, nie odróżnił się w niczem od Marca, nigdzie też dotąd nie można spotkać tych świeżych kostyumów wiosennych, jakie w słoneczne dni widywaliśmy dawniej na polach Elizejskich, w lasku Bulońskim i na wystawach wszelkiego rodzaju. W zeszły piątek zwiedziliśmy wystawę obrazów, chcąc zebrać jakąś wiązkę najświeższych mód do Tygodnika, dzień to uprzywilejowany, cena wnijścia pięć razy wyższa niż w dni zwyczajne, Paryżanki występują na te zebrania z całą wytwornością. Zawód nasz był wielki. Z powodu zimna przejmującego do kości, nie widzieliśmy nic prawie oprócz ciepłych okrywek i kostyumów zimowych. Parę zaledwie świeżych sukien i kapeluszy zwróciło naszą uwagę, opiszemy je szczegółowo.

Jedna suknia z czarnej materyi faille składa się z dwóch spódniczek, pierwsza fałszywa wygląda od dołu zaledwie na trzy cale, z lewego boku tylko na łokieć wysokości, naszyta lekką pasmanteryą, przerabianą dżetem. Na wierzch idzie druga spódniczka, przyfałdowana w grube zakłady, z lewego boku podniesiona w górę i odsłaniająca dżetową pasmanteryą. Z tegoż boku, na dwóch schodzących się fałdach naszyta również pasmanterya coraz węższa ku górze. Stanik francuzki otwarty z przodu ma odpowiedni plastron, stojący kołnierz i mankiety, pokryte dżetem, dopełniają ubrania. Kapotka do tego czarna koronkowa, nagarnirowana w górę nad czołem, w kształcie wachlarza. Pod spód podpięty wielki motyl dżetowy. Na boku egretka z róż bladych w rozmaitych odcieniach końców nie ma wcale do wiązania, kapelusz zatem przypięty do włosów wielką szpilką dżetową.

Drugie ubranie młodej pani. Spódniczka z lekkiej tkaniny wełnianej, ciemno granatowej, w drobne prążki aksamitne tegoż koloru i blado niebieskie jedwabne, dół bez żadnego garnirunku. Na to idzie żakietka z granatowego szewiotu, wpadająca zupełnie do figury, przód jej otwarty, w pasie tylko spięta na srebrną agrafę; poniżej pleców spada rzęsiste karoko. Cała żakietka objęta jedwabnym galonem tegoż koloru. Kołnierz stojący, drugi wielki, wyłożony, rozchodzi się zupełnie. Z pod otwartych przodów, wybiega szeroki przymarszczony plastron z blado niebieskiego surah, przyciśnięty agrafą, przechodzi niżej i kończy się w ząb, objęty galonem granatowym.

Takie żakietki, przyjęte dziś w rozmaitych kolorach. Uważaliśmy jednę koloru myrtowego, z plastronem popielato różowym, inną brązową z plastronem surah w kratę.

W magazynie aux Trois Quartiers widzieliśmy piękny dobór sukien i kostyumów letnich, przygotowanych do wód Luchon, dla rodziny złożonej z osób różnego wieku. Dajemy tu ich opis.

Ubranie na przechadzkę: Spódniczka z indyjskiego kaszmiru, brązowa, fałdowana w grube zakłady. Na to idzie tunika z lekkiej tkaniny wełnianej, w guście Pompadour, w kolorowy deseń na tle brązowym. Tunika ta z lewego boku całkiem otwarta, tworzy na przodzie długi fartuch, w tyle puff rozniesisty. Stanik gładki kaszmirowy wolno puszczony z przodu. Pod spód kamizelka Pompadour, otwarta nieco w górze, na białej szmizetce muszlinowej. Kołnierz prosty, z kokardą na przodzie. Od lewego boku wzdłuż spódnicy spada szeroka szarfa ze wstążki brązowej, związana poniżej stanu na dwa pukle, u dołu zakończona frendzlą jedwabną. Kapelusik do tego z cienkiej słomki brązowej, rondo mocno wysunięte naprzód z zębem odwiniętym w górę, podbite siatką blado żółtą na brązowej materyi. Główka strojna kokardą i bukietem różnokolorowych kwiatów polnych.

Druga suknia fularowa, koloru heliotropowego, zasiana w białe kółka. Spódniczka z gładkiego fularu, na podszewce, układana w grube kontrafałdy; u dołu plisa w kółka objęte z obu stron aksamitną wypustką nieco ciemniejszą. Na to druga spódniczka w kółka, podniesiona z lewego boku. Stanik przymarszczony w rodzaju bluzki, kołnierz stojący aksamitny, takież mankiety i epolety u rękawów. Szarfa nie wielka aksamitna, zakończona w tyle kokardą. Kapelusik do tego słomkowy, z rondem wysuniętem, bez szarf do wiązania, rondo podbite aksamitem, nad niem bukiet z heliotropu i róż herbacianych.

Trzeci kostyum czarny składa się z gładkiej spódniczki faille, naszytej u dołu dwa razy czarną dżetową pletnią i z długiej tuniki koronkowej, w gęsty rzut bez żadnego odpasowania. Tunika ta podwinięta od dołu, nieco podniesiona po bokach, tworzy w tyle puff mocno nafałdowany. Stanik do tego z materyi faille wcale nie powleczony koronką, baskina u niego porozcinana wkoło, przypomina taczki u staników wieśniaczek naszych. Przody całkiem otwarte schodzą się tylko w pasie i znów rozchodzą u dołu. Wkoło przodów i taczek naszyta pletnia dżetowa. Z pod otworu wygląda plastron koronkowy lekko przymarszczony. Kołnierz wysoki zdobny z boku kokardką; mankiet u rękawów złożony z pletni i koronki. Dopełnia ubrania kapotka z cienkiej słomki w kolorze naturalnym przerabianej włosiem czarnem. Rondo podniesione z przodu, główka dosyć wysoka. Nad czołom kokarda ze wstążki vieux rose, na wierzchu wielki bukiet róż w tymże odcieniu, z liśćmi oliwkowemi.

Oprócz tych sukien spacerowych, zwróciły uwagę naszą dwa kostyumu fantastycznego kroju. W takich dziś panie domu, zwykły przyjmować gości. Kostyumy te różnią się od zwyczajnych, jaskrawszą barwą i trenem spadającem zaledwie na pół łokcia.

Pierwszy z tych kostyumów składa się ze spódniczki fularowej, w niewarowym kolorze, z polki błękitnej kaszmirowej. Spódniczka nagarnirowana z przodu dwoma szerokiemi wolantami z koronki niewarowej. Polka otwarta od góry do ziemi, odsłania ten garnirunek. Od ramion do stanu idą wyłogi fularowe, takiż sam kołnierz marynarski, zastępuje miejsce zwykłej obróży. Z pod otworu stanika wygląda szmizetka, nagarnirowana szarą koronką. Takąż samą koronką przybrane mankiety, epolety i kieszenie. Wstążka błękitna otacza stanik, związana z przodu na kokardę.

Drugi kostyum tego rodzaju: Spódnica z pąsowego fularu surah, całkiem pokryta wolantami z lekkiej koronki, barwy śmietankowej, na to polka fularowa popielata, w deseń pompadour, ogarnirowana z obu przodów koronką. Te przody rozchodzą się zupełnie, tylne poły rozcięte również do stanu, z pomiędzy nich wybiega spódniczka pąsowa. U szyi woda z koronki na podwleczeniu pąsowem. Rękawy plisowane pąsowe, pokryte koronką.

Dodajmy słówko o obuwiu. Buciki przyjęte wyłącznie do miasta na ulicę; w domu zaś, równie jak u wód i na wsi, używane powszechnie trzewiki ze skórki czarnej lub brązowej, otwarte z jednym szczebelkiem na podbiciu. Ztąd w pończochach wielka panuje rozmaitość. Do częstego użycia noszą je z nici szkockich, w kolorowy groszek na tle białem, czarnem, pąsowem lub szafirowem. Strojniejsze pończochy jedwabne, zasiane całe w rzucik z drobniuchnych kwiatków.

W parasolikach też widoczna rozmaitość. Niektóre mają formę czworograniastą; wszystkie obszywają wolantem koronkowym. Wielka kokarda zdobi zazwyczaj rączkę. U wód i na wsi przyjęte parasoliki w jaskrawych kolorach, w Paryżu zaś używane na ulicę ciemne lub w drobną kratkę.

Powiedzmy jeszcze o ubraniu małych dzieci. Widzieliśmy po magazynach, bardzo ładne bluzki i żakietki, ze szlaczkiem haftowanym krzyżową robotą, na kaszmirze albo na płótnie czy to szarem czy granatowem.

Podkłada się zwykle kanwa, na niej wyszywa się arabesk lub inny deseń bawełną pąsową, białą lub inną, niekiedy można mieszać kilka kolorów razem. Następnie wyciągają się nitki kanwy i pozostaje deseń. Bluzka taka przymarszczona w stanie, ma szeroki szlak u dołu, pasek, kołnierzyk i mankietki, naszyte węższemi szlaczkami. Zalecamy tę robotę, gdyż łatwa i bardzo przyjemna. Można ją urozmaicać według woli i gustu.

S. D.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Według wiadomości gazeciarskich, często... mówiąc nawiasem, z prawdą będących w rozbracie, w górach Olbrzymich przed dwoma tygodniami spadły obfite śniegi, które w wioskach górskich, dachy, pola i łąki pokryły grubym białym całunem, jak wśród głębokiej zimy. Druty telegraficzne soplami lodu w niektórych miejscach tak były obciążone, że niemogąc utrzymać ciężaru, zerwały się.

Rzecz to dość niezwykła jak na Maj, uprzywilejowany miesiąc bzu i słowika, tym jednak razem musi być prawdziwa, bo i nam zimno niezwykle dokuczało, na czem najwięcej ucierpiały wszystkie miejsca rozrywek Warszawiaków pod gołem niebem urządzanych i... w pewnej części wystawa hygieniczna.

Warszawa bardzo nią zajęta. Szczegółowy opis ciekawi znajdą w oddzielnem sprawozdaniu, w tem miejscu o dwóch rzeczach zrobimy tylko wzmiankę, miłej i bardzo... niepożądanej, szczególniej w naszem dość nieświetnem finansowem położeniu.

Otóż ową bardzo niepożądaną jest wynajem krzeseł do odpoczynku koniecznego przy nużącem obchodzeniu obszernego placu wystawy. Przygo-

towanie odpowiedniej liczby ławek było obowiązkowem, a ułatwienie wygodniejszego siedzenia tylko udogodnieniem za które słusznie zapłata należy. Komitet nie uwzględnił tego i tak dalece miał na pamięci zysk przedsiębiercy, że w pierwszym dniu ustawione ławki w punktach więcej ożywionych, usunął przenosząc je na miejsca najzupełniej osamotnione, aby niejako zmusić publiczność do odpoczynku za opłatą.

Czy to słuszne i sprawiedliwe?

Wprawdzie zwyczaj podobny praktykuje się zagranicą, w Paryżu nawet w kościołach opłatę za krzesła pobierają, ale bogaczom wolno się dać obdzierać, my do ich liczby nie należymy i naszem zdaniem komitet nietaktownie sobie postąpił, zwłaszcza przy cenie biletów dość wysokiej, bo pięćdziesiąt groszy wynoszącej.

Do miłej znów rzeczy należy, użycie orkiestry straży ogniowej i włościańskiej, dowodzonej przez pana Namysłowskiego. Nie są to orkiestry wyborowe, strażacka złożona z instrumentów dętych z samej ich natury już jest ograniczona, włościańska posiadająca większą rozmaitość, w utworach lekkich dobrze się sprawia, a gdy tnie od ucha oberki i mazurki tak to jej idzie ładnie i składnie, z takiem życiem i ogniem, że wszystkie twarze licznego tłumu słuchaczy ożywione wesołością uśmiechają się, głowy w takt poruszają a nogi przytupują. Gdy jeszcze do tego odezwą się przyśpiewką, zadowolenie zdwaja się a grono słuchające zdaje się, że lada chwila utnie chołupca i w tan poskoczy.

Słowa wprawdzie do przyśpiewki użyte nie zalecają się zbytnim nastrojem poetycznym, ale że płyną z ust artystów ubranych w szare sukmany i magierki krakowskie, nabierają niezwykłego uroku w duchu naszym i sercu znajdującym odbicie. Oto para wierszyków naprędce spisanych:

Hej! dziś, dziś, dziś za kominem,
Siedzi Mazur ze swym synem,
A Mazurka ze swą córką,
Wyglądają jedną dziurką.

Kędy lecisz osmalony?
Do Warszawy szukać żony,
Niedaleko trzeba szukać,
W okno naszej pani pukać.

Jest tam dziewczę na wydaniu,
Wielkie wiano za nią dają,
Cztery myszy, cztery koty,
Pies dziewiąty do roboty.

Z powodu zajścia w Izbie pruskiej, pomiędzy panem Józefem Kościelskim a p. Bitterem komisarzem rządowym, Redaktor Gazety Polskiej, podaje fakt analogiczny, z którego możnaby wnosić, iż polityczne pojedynki stają się poniekąd tradycyą w rodzinie Kościelskich.

Otóż w roku 1848-ym, po krwawych zajściach w Księztwie Poznańskiem, ówczesny major pruskiego jeneralnego sztabu Voigts-Rheetz, który następnie w latach 1866 i 1870 tak ważną rolę odegrał w jeneralnym sztabie niemieckim, wydał słynną broszurę o poznańskich ruchach bardzo uwłaczającą Polakom, tak dalece, iż jenerał Willisen, który w owe czasy stał na czele pruskich wojsk w Księztwie, uważał za właściwe przeciw twierdzeniom majora Voigts-Rheetz wystąpić.

Wtedy pan Władysław Kościelski, stryj dzisiejszego członka izby panów, dymisyonowany oficer pruski, a dzisiejszy Sefer pasza, zarzucił w pismach kłamstwo p. majorowi Voigts-Rheetz.

Pojedynek stał się nieuniknionym; lecz musiał być odroczonym do pozwolenia królewskiego; po nadejściu takowego, spotkanie nastąpiło pod Szczecinem.

Przebieg pojedynku był następujący:

Strzelano do mety — pierwszy strzelił major Voigts-Rheetz i chybił; poczem Władysław Kościelski, uniesiony szlachetnością, strzelił w powietrze.

Odpowiednio do warunków pojedynku nastąpiło powtórne strzelanie.

Władysław Kościelski chciał znowu przeczekać strzał przeciwnika, p. Voigts-Rheetz, mierząc tym razem dokładniej, postrzelił w łokieć p. Kościelskiego, któremu też zranione ramię obwisło i strzał jego poszedł w ziemię.

Piszącemu te słowa, złożony w łóżku Władysław Kościelski wyraził żal, iż się uniósł szlachetnością i odrazu Niemca nie powalił przy pierwszej wymianie strzałów.

Nie pierwszy to raz, mądry Polak był po szkodzie.

Zapomniana osobistość. W tych dniach w grobie ubogich złożono zwłoki Maryanny Elżbiety Chmielewskiej, liczącej 88 lat wieku i oddającej się od lat kilkunastu żebraninie.

Chmielewska przed kilkudziesięciu laty znaną była na scenie jako baletnica, i odznaczała się niepospolitą urodą.

W 1821-ym roku została wykradzioną przez jakiegoś markiza włoskiego, z którym wyjechała za granicę.

Dalsze jej losy nie są nam wiadome.

Może ktoś z osób starszego pokolenia przypomni sobie słynną swego czasu baletnicę, a ostatnio żebraczkę...

Przeskok nie musiał być gwałtowny; lecz życie Chmielewskiej obfitowało zapewne w rozmaite przygody, które doprowadziły ją w końcu do „kija i torby żebraczej..,"

Karnawałowe życie najczęściej kończy się popielcem.

Parasoliki z monogramami. Do rzędu najświeższych nowości bieżącego sezonu należą parasoliki, ozdobione olbrzymim monogramem, ręcznie haftowanym.

Nowy ten dowcip mody, odsłaniający do pewnego stopnia incognito każdej z dam, parasolik taki noszących, znalazł na warszawskim bruku sporo zwolenniczek.

Myszy podpalaczami. W Wiedniu niedawno stał przed kratkami kupiec, oskarżony o podpalenie. Sądy wszakże uwolniły go, gdyż śledztwo wykazało, że myszy nadgryzając paczki z zapałkami, skutkiem tarcia o łepki fosforyczne spowodowały pożar.

Pasteur nie zraża się opozycyą, jaka go od pewnego czasu spotyka w niektórych, niemieckich zwłaszcza, sferach lekarskich i z równym zapałem studyuje swoją metodę szczepienia. Następujący urywek z listu, pisanego do przyjaciela, Juliusza Marcou, w Cambridge, w Stanach Zjednoczonych, jest najlepszym dowodem tego niestygnącego zapału 69 cioletniego uczonego: „Kupiliśmy — pisze Pasteur — 11,000 metrów kwadratowych gruntu, a składki przyniosły prawie 2 miliony franków. Suma to wszakże bardzo niewystarczająca, gdy wydamy 1,200,000 na grunt i budynek. Mam nadzieję, że skoro tylko się ukonstytujemy, a stanie się to niezadługo, zostaniemy lepiej uposażeni. Będziemy mogli wówczas przyjmować zapisy. Ażeby postępować odpowiednio i zupełnie niezależnie musimy posiadać według mego obliczenia 3 i pół miliona franków. Mam zaufanie. Przyszłość do nas należy. Zapobiegawcze leczenie wścieklizny utrzymuje się. Bardzo, bardzo rzadkiemi są wypadki niepowodzenia a we wszystkich wypadkach podobnych rządziły nadzwyczajne jakieś okoliczności. Od 1 Stycznia jeden się tylko zdarzył wypadek niepomyślny, a było w ogóle 500 czy 600 pacyentów, między nimi wielu bardzo niebezpiecznych. Gdybyśmy tak samo mogli pokonać dyfteryt, suchoty i t. p. Mamy zamiar spróbować. Mieć zaufanie i wierzyć w powodzenie sumiennej pracy, jest już jednym krokiem do odkrycia."

Ludność miasteczka Bergerac w departamencie Dordogne, usiłowała podpalić cyrk, z powodu, iż orkiestra cyrkowa złożona była z Niemców. Z niesłychaną trudnością udało się powstrzymać tłum od wykonania powziętego zamiaru.

Dla łysych od ucha do ucha otwiera się zarobek, jak dziś wielce pożądany. Oto ma być w Warszawie otwarte bióro reklam, w którem rozgłos we wszystkiem można będzie uzyskać za odpowiednią opłatą: np. wdowcy i wdowe szukające pociechy w nowych związkach, kawalerowie posagów, panny mężów, głupcy patentów na rozum, oszuści zaufania i t. d. Do tego przeważnie mają być użyci „łysi" z wypolerowanemi czołami od początku nosa aż do tyłu głowy, celem wypisania na ich łysinach, odpowiednich ogłoszeń, ilustrowanych rysunkami humorystycznemi a następnie puszczenia ich w świat jako wszędzie włóczących się figurantów.

W Wiedniu pomysł ten na jednej humorystycznej maskaradzie, znalazł wielkie powodzenie. Czy u nas pomyślnie równie się rozwinie, przesądzać trudno, ale że goli mnożą się coraz bardziej, to i łysych nigdy nie braknie.

* * *

Biedny olbrzym. W Paryżu prezentuje się olbrzym niepospolity, przerastający ogromem swojej wysokości wszystkich poprzedników. Nowy olbrzym nazywa się Winkelmayer. Długość nazwiska niczem jest wszakże w obec postaci tego fenomenalnego człowieka, wysokiego na trzy metry! Między wszystkiemy zjawiskami potwornemi, jakie natura wytwarza na ziemi, olbrzym jest niewątpliwie najbardziej pożałowania godnym. Karzeł jest małym, zwinnym, delikatnym, wygląda jak dziecko... Kobiety pieszczą go, chuśtają go na kolanach, noszą w mufkach i kładą na stole. Może on wszędzie zamieszkać wygodnie: w futerale lornetki teatralnej i w bombonierce... Można go schować do kieszeni w podróży... Ależ olbrzym! Czy jest coś, coby bardziej stało każdemu w drodze? Najpierw — nie można go nigdzie umieścić. Winkelmayer, mieszkający w hotelu, musi przyjmować wizyty, siedząc na komodzie. Pragnąc wypocząć w nocy, spać musi na czterech łóżkach, na których rozpościera wszerz swoje członki. Nie może przemówić do nikogo bez nachylenia się. Dokąd pójdzie zawadza wszystkim i wszyscy mu zawadzają. Potrąca się o żyrandole, wybija dziury w sufitach, przestrasza kobiety... Fiakier i wagon sypialny są dlań zamknięte. Nie może wyjść piechotą, gdyż wywołuje zbiegowisko na ulicy. Musi przeto siedzieć wiecznie w domu... W stosunkach społecznych jest to prawdziwy paryas... Karzeł

znajduje pokrewne sobie stworzenie w sześcioletniem dziecku, w kocie, w małpie... Olbrzym ma rówieśników chyba w kolumnie wendomskiej lub w obeliskach Luxoru! Czuje on się dobrze pod łukiem tryumfalnym, oddycha swobodnie na polu Marsowem. Olbrzymom wiodło się w czasach heroicznych, gdy pod nazwiskim tytanów dokuczali Jowiszowi i bogom Olimpu... Dzisiaj są to istoty najnieszczęśliwsze, nudne, jak wsystko co nie ma końca!"

* * *

Także zmowa. Dziewczęta miasteczka Newton (New-Jersey) utworzyły towarzystwo, którego celem jest „odrodzenie moralne" młodzieży. Kobiety, chcące wstąpić do stowarzyszenia, muszą podpisywać deklaracye, iż żadna nie odda ręki człowiekowi, który pije gorące napoje lub pali tytuń. Trafiła jednak kosa na kamień, gdyż młodzież Neftona, uważając wymagania dam za zbyt surowe, urządziła kompletną zmowę i poczęła szukać małżonek w okolicznych miastach. Ciekawa rzecz, co zrobią dziewczęta wobec tego oryginalnego bezrobocia?

* * *

Brylanty w uszach kobiecych to przynęta w pułapce doświadczonej mocy i skuteczności.

KOLONIE LETNIE

dla biednych słabowitych dzieci.

W pięcioletnim okresie swojego istnienia, dzięki energicznemu poparciu społeczeństwa naszego, dały możność 720-u dzieciom obu płci słabowitym, źle odżywianym i rozmaitemi postaciami skrofułów oraz wadliwej konstytucyi dotkniętym, zaczerpnięcia świeżego, wiejskiego powietrza i nabrania sił i zdrowia. Czterotygodniowy pobyt wśród łąk, i lasów świetnie podziałał na te upośledzone od losu istoty i zapadłe ich oblicza zaokrągliły się i zdrowej dostały cery, wiotkie ciałko i słabo rozwinięte muskuły nabrały siły i niebywałej dotąd energii, u wielu z nich zarodki chorób ustąpiły miejsca czerstwości i zdrowiu, a proces assymilacyi i rośnięcia, został wprowadzony na drogę normalną i właściwą. Te kilkaset dzieci przywróconych do zdrowia, niezbity stanowią dowód niewyczerpanej ofiarności i skrzętnej zabiegliwości naszego inteligentnego ogółu, który nie usuwa nigdy ręki swojej od sprawy dobrej, szlachetnej, mającej niezaprzeczoną korzyść krajowi przynieść; jest on głęboko o tem przeświadczony, iż każdy grosz na ten cel wydany, zwrócony będzie z wielkim procentem w postaci zdrowia i siły, jakich klasa nasza robocza nabierze.

Dzisiaj w przededniu szóstego roku naszych kolonii, niemniejsza niż dawniej liczba dzieci zgłasza się z prośbą o wysłanie ich na wieś, a wiosenne słońce, które całą naturę do życia pobudza, wznieciło i w ich sercach niepłonną nadzieję, że gorące ich życzenia spełnionemi będą i ofiary na ten cel w roku bieżącym, niemniej obficie niż w latach poprzednich popłyną.

Karolina de Bourbon Andrzejowa Zamoyska
przewodnicząca,

D-r Gustaw Fritsche
główny opiekun.

OD REDAKCYI.

☞ Tom ósmy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:

GALERYA DYLETANTÓW:

Wspólnicy. — Pierwszy zawód. — Literacka sofa.

Wydawnictwo to redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

PRZYJACIEŁ DZIECI

numer 23 wyszedł z druku i zawiera:

Młodość Mickiewicza. — Przyjaciel (wiersz). Hetmański piastun. — Jazda psami w Grenlandyi (z drzew.) — Sala balowa w grocie Luray w Wirginii (z drzewor.). — Czyny nauczające. — Z sierocej doli. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie — Dwie muchy (wiersz). — Pawian przylądkowy (z drzew.) — Dwie wiosny (wiersz). — Antoś i Ewusia. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

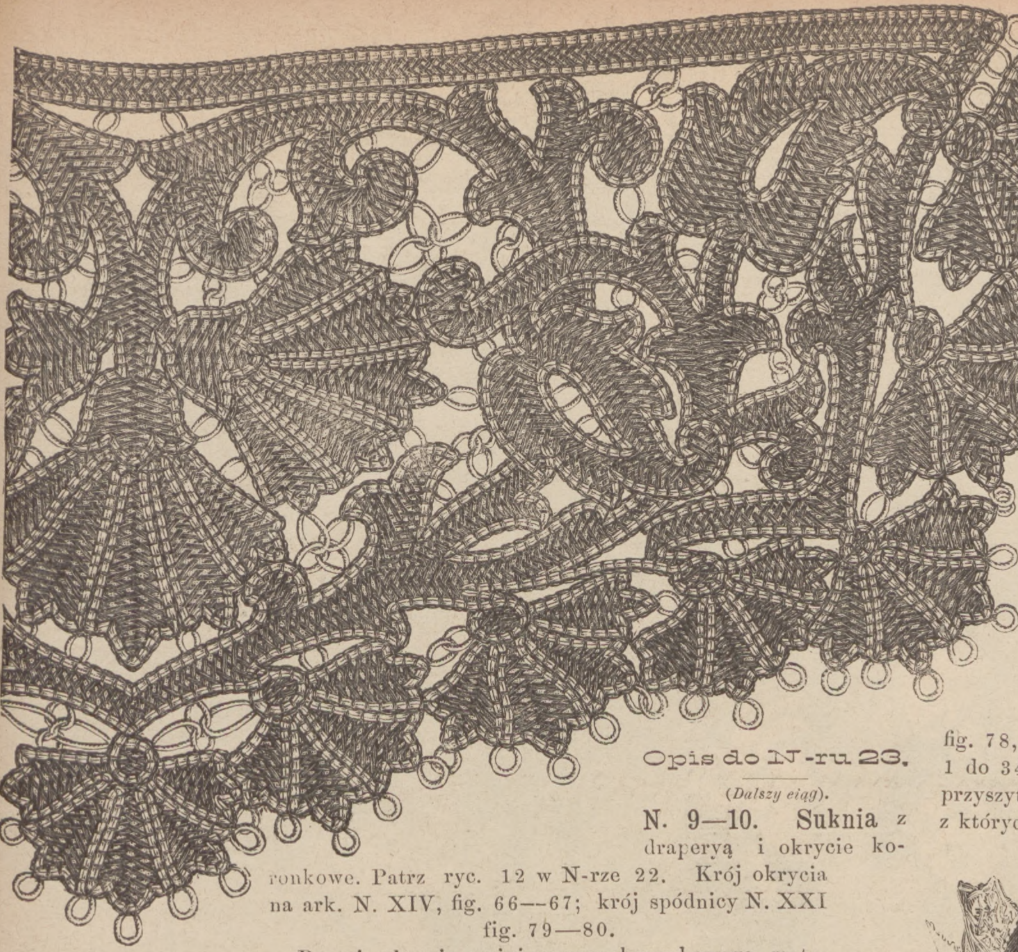
☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

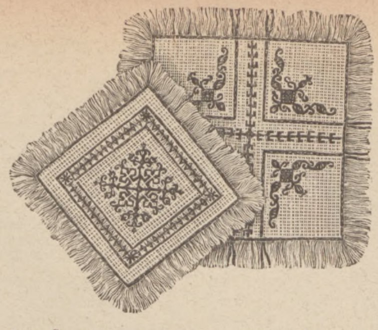
TYGODNIK MÓD I POWIESCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę. Warunki są w nagłówku pierwszej kolumny.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Мая 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



N. 4. Haft wenecki. Patrz ryc. 5 tudzież ryc. 4—5 w N-rze 22.



N. 1. Serwetka z wyszyciem i kratką ażurową. Patrz deseń fig. 89.
N. 2. Serwetka z wyszyciem jednakowem na obie strony. Patrz fig. 88.



N. 3. Suknia z bretelkami dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 19. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 59—65.

Opis do N-ru 23.

(Dalszy ciąg).

N. 9—10. Suknia z draperyą i okrycie koronkowe. Patrz ryc. 12 w N-rze 22. Krój okrycia na ark. N. XIV, fig. 66—67; krój spódnicy N. XXI fig. 79—80.

Brzegi okrycia z gipiurowego koronkowego materyału podszyte są pliską jedwabną 5 cent. szeroką; przybranie stanowi 10 metrów koronki 12 cent. szerokiej, z przodu ułożonej w fałdy wachlarzowe, u dołu przyszytej torsadką z perełek 3 c. szeroką. Agrafki z perełek zapinają brzegi przednie podług znaków na fig. 66 złożone w kontrafałdę. Wykroj szyi wszyty wpasek jedwabny 4 c. szeroki, ogarnirowany koronką i przykryty wstążką z pikotami 3 cent. szeroką, ułożoną w sutą kokardę; druga kokarda dana na ramieniu. Fig. 80 na arkuszu z krojami przedstawia z tyłu całość sukni odrobionej z gładkiego i deseniowego materyału, której przód widzimy na r. 10. Na spódnicy dane naprzemian 17 c. szerokie podwójne kontrafałdy z deseniowego materyału i fałdy plisowane zwrócone do siebie, z gładkiego materyału, dwie 10 c. szerokie; na każde fałdy trzeba kawałka 30 cent. szerokiego. Fig. 79 daje w małym formacie wymiar kroju draperyi *a* oznacza część przednią, sfałdowaną podług znaków a dalej gładko wszytą w pasek, a lewym brzegiem bocznym podpiętym w górę podchodzi pod upięcie tylne podług fig. 80. Tylny bryt *b* od 54 do 104 zmarszczony, do 134 sfałdowany, wszyty jest w pasek: dalej składając punktem do punktu podpięty w pukiel poniżej paska; drugi duży pukiel złożony od gwiazdki do gwiazdki, ma przyszytą haftkę w miejscu oznaczonem krzyżykiem którą przypina się na środku baskiny z tyłu. Prawy brzeg boczny sfałdowany podług znaków przyszywa się na sukni pod brytem *c* złożonym w górze w pięć fałd a z prawego brzegu odwiniętym w ranwers. Stanik z gładkiego materyału ma deseniową kamizelkę, ranwersy i mankiety.



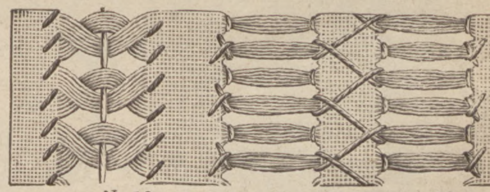
N. 9—10. Okrycie koronkowe i suknia z draperyą. Patrz ryc. 12 w N-rze 22. Krój okrycia na arkuszu N. XIV, fig. 66—67. Krój sukni N. XXI, f. 79—80.

N. 13. Suknia z draperyą a panier i żabotem. Krój na ark. N. XX, f. 78.

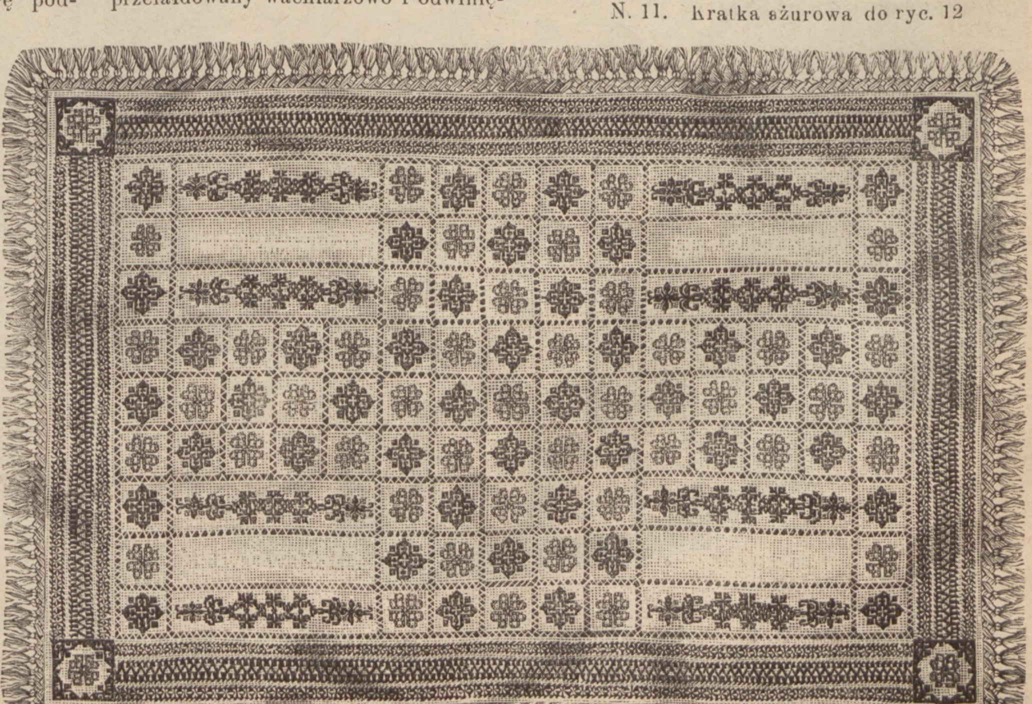
Na spódnicy z pąsowej materyi zakończonej u dołu 7 cent. szerokiem plisowaniem spada dziesięć patek po 20 cent. szerokich, z przodu trochę z tyłu ściśle zmarszczonych, z materyi surah w paski granatowe z pąsowym, które w górze od paska wzdłuż zeszyte są z sobą na 40 cent., w dolnej połowie rozchodzą się na plisowaniu wachlarzowo złożonem, z 28 cent. szerokiego kawałka gładkiej materyi. Żabot i fartuszkowa draperya á panier układa się z jednego bryta, wymierzonego podług fig. 78, przyszytego na sukni poniżej paska od 1 do 34; z brzegów bocznych 58 cent. długich przyszyte są bryty materyi po 150 cent. długie z których wiąże się wielka kokarda przypięta z tyłu na baskinie stanika. Część przefałdowana przy 44 na panier do szerokości 15 cent, przyczepia się również na sukni. Żabot od 71 do 86 lekko sfałdowany, w górze przy 21 przefałdowany wachlarzowo i odwinię-



N. 5. Kołnierz haftem weneckim. Patrz ryc. 4—5 w N-rze 22.
N. 6. Czepeczek z koronką.
N. 7—8. Uczesanie z ozdobnemi szpilkami i kołnierz z żabotem.



N. 11. Kratka ażurowa do ryc. 12



N. 12 Serwetka płócienna z kolorowem wyszyciem i kratką ażurową. Patrz ryc. 11.



N. 13. Suknia z żabotem i draperyą á panier. Krój draperyi na arkuszu N. XX, fig. 78.

N. 14. Suknia z koronką. Patrz ryc. 6 i 14 w N-rze 22 i ryc. 21. Krój na arkuszu N. VII, f. 33-34.

N. 15. Płaszczyk od kurzu. Patrz ryc. 2 w N-rze 22. Krój na arkuszu N. III, fig. 16—20.

N. 16. Suknia z długą draperyą. Krój na arkuszu N. XXII, f. 81-82.

N. 17. Bluza podr. z karczkiem. Patrz r. 31 w N. 22. Krój na ark. N. V, f. 24—31.

N. 18. Paletocik z przem. dla dziew. lat 4—6.

N. 19. Suknia z bretelk[illegible] dla panienki lat 11—13. Pa[illegible] ryc. 3.

N. 20. Sukieneczka dla dziecka lat 1—3.

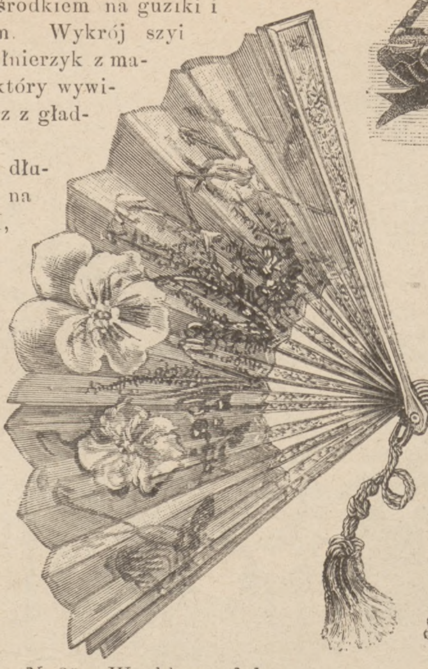
N. 21. Suknia z krótkiem okryciem. Patrz ryc. 11 w N-rze 22. Krój na arkuszu N. IV, fig. 21—23.

N. 22. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 10 i 15 w N-rze 22. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—8.

N. 23. Suknia z gładkiem vêtement. Patrz ryc. 16—17 w N. 22. Krój na arkuszu N. IX, fig. 43—50.

N. 24 Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój na arkuszu N. VIII, f. 35—37.

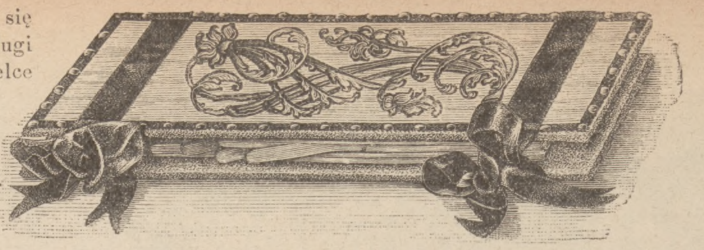
ty, niżej spuszcza się w bufę; górny brzeg przypina się na kołnierzyku na haftkę. Stanik z tyłu 50 cent. długi ma przody kaftanikowe otwarte na gładkiej kamizelce pąsowej zapiętej środkiem na guziki i przykrytej żabotem. Wykrój szyi wszyty w stojący kołnierzyk z materyi w paski, na który wywinięty jest kołnierz z gładkiej materyi.



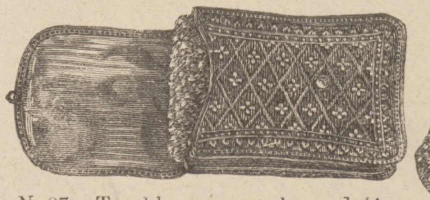
N. 29. Wachlarz zdobny malowaniem.

N. 16. Suknia z długą draperyą. Krój na arkuszu N. XXII, fig. 81—82.

Spódnica z oliwkowej materyi surah przybrana plisowaniem z pasów żółtawego szwajcarskiego haftu 16 cent. szerokich. Stanik i draperya dane z oliwkowego fularu w biały deseń który ma przód draperyi (a-b f. 82) wzięty jest skośnie tak, że na szwie środkowym pasy schodzą się w szpiczaste zęby; środkiem pleców stanika i wierzchem rękawów pasy również schodzą się w zęby. Przedni bryt *a* brzegiem sfałdowanym podług znaków wszywa się w boczny szew sukni, u góry zaszywa w zaszewki podług figury i wszywa do paska wraz z brytem b od 51—75. Dalej bryt b jest od 51 do 68 poprzecznie sfałdowany i wszyty w pasek, zaś luźno spuszczony koniec zaszywa się w róg szpiczasty składając gwiazdkę do gwiazdki. Boczne



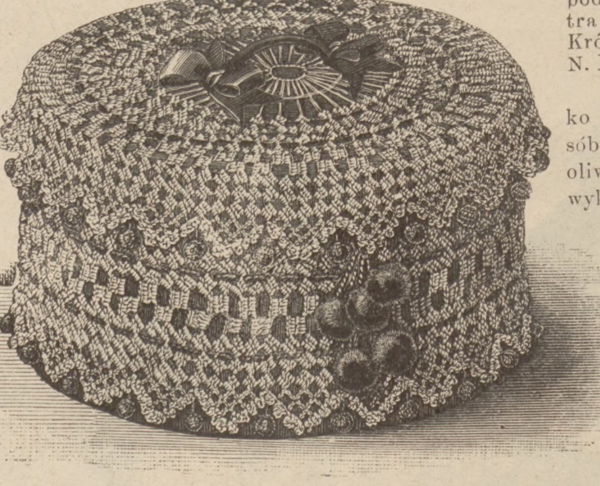
N. 25. Pratka do rękawiczek. Deseń patrz fig. 84.



N. 27. Torebka na czapkę podróżną. Patrz ryc. 26 i 28. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 73—74.

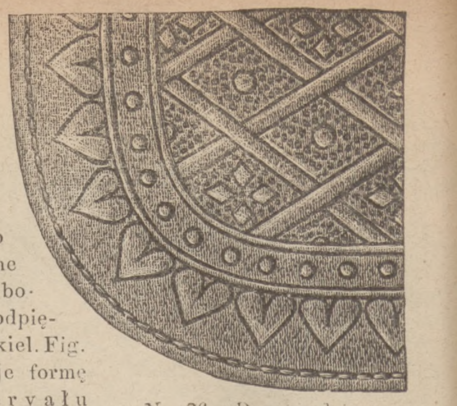


N. 28. Czapka podróżna z futra bobrowego. Krój na arkuszu N. XVI. f. 71-72.



N. 30. Pudło na drobiazgi.

bryty *c* i tylne bryty *d* marszczą się w górze wszywają do paska i nakształt patek spadają na suknię, z tyłu w środku do 28 zmarszczone do 10 cent., a z boków podpięte w pukiel. Fig. 81 daje formę materyału zwierzchniego krajanego na przody i plecy stanika w jednym ciągu; przody podszewkowe pokryte są najpierw materyą surah, następnie podług ryc. 16 naszytej haftem tworzącym kamizelkę. Brzeg przodów z materyału zwierzchniego fałdaje się podług znaków pod szyją i w pasie, zakłada kaftanikowo i przyciska u dołu paskiem, wymierzonym podług b na fig. 81. Karoczko krajane w jednym ciągu przy plecach fałduje się w ten sposób iż luźne końce spadają z boków. Kokardy z aksamitki oliwkowej 5 cent. szerokiej; przybranie rękawów i kołnierz wykładany dane z haftu.

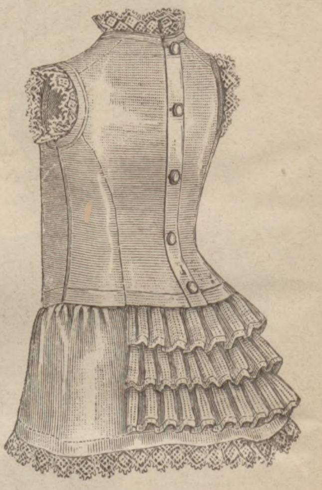


N. 26. Deseń zdzierany na safianie, do ryc. 27.

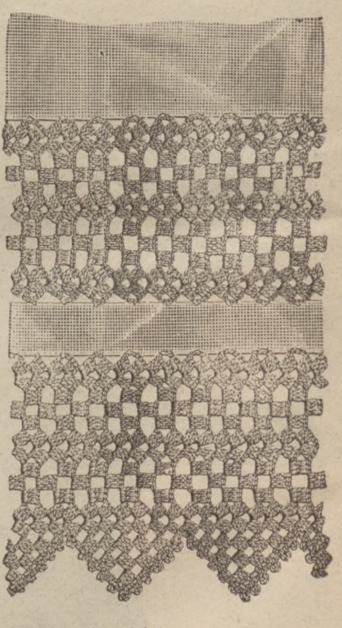
N. 18. Paletocik z przemarszczeniem, dla dziewczynki lat 4—6.

Na podszewce dopasowanej do figury, materyał zwierzchni krajany szerzej przemarszcza się kilkakrotnie przy szwie na ramieniu i w pasie. Przody dopełnia gładka kamizelka zapięta na haftki z boku, której brzegi przykrywa szeroki ranwers aksamitny. Dolna część spódniczkowa 30 cent. długa 264 szeroka, jest w około zaplisowana; pasek $4\frac{1}{2}$ cent. szeroki, kołnierzyk stojący 3 cent. wysoki. Model był z granatowego sukienka.

(D. n.)



N. 31. Stanik ze spódniczką spodnią, dla dziewczynki. Krój na arkuszu N. XV, fig. 68—70.



N. 33. Ząbki i wszywka szydełkowa do rolet.



N. 32. Haft ściegiem krzyżowanym. Odpowiedni do ryc. 25 w N-rze 22.